

KASACJA

REMIGIUSZ MRÓZ
KASACJA

CZW-
ARTA
STRO
NA

Copyright © Remigiusz Mróz, 2015
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Magdalena Owczarzak
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka

ISBN 978-83-7976-247-7

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Legum servi sumus ut liberi esse possimus.
– „Abyśmy mogli być wolni, jesteśmy niewolnikami prawa”.

Cycon

*Rodzicom,
ta, wszystkie poprzednie i każda kolejna*

Prolog

Joanna Chyłka weszła do pokoju wideń i usiadła naprzeciw swojego klienta. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, myśląc o grożącej mu karze.

Dożywocie z możliwością warunkowego zwolnienia po dwudziestu pięciu latach.

Nie brzmiało to dobrze. Szczerze mówiąc, lepiej brzmiałaby diagnoza o nieuleczalnej chorobie. Godzina w więziennej celi to sporo, ale całe życie? Gdyby w polskim porządku prawnym wciąż funkcjonowała instytucja kary śmierci, ten facet stałby już pod szubienicą. I pewnie byłby za to wdzięczny.

Chyłka bacznie go obserwowała, starając się ocenić, z kim ma do czynienia. Pierwsze spotkania zawsze są trudne – oskarżeni z urzędu nie ufają prawnikom, przynajmniej dopóty, dopóki nie pojawi się iskierka nadziei, że obrońca naprawdę zrobi wszystko, by wyciągnąć ich z bagna, w którym się znaleźli.

Wchodząc do pokoju wideń, była przygotowana na najgorsze. Nie przypuszczała jednak, że będzie aż tak źle. Broniła

już wielu socjo-, psycho- i innych -patów, ale do tej pory nie trafiła na kogoś, kto sprawiałby tak niepokojące wrażenie.

– Widzę, że żadne z ciebie niewiniątko – odezwała się, przeglądając rozłożone na stole dokumenty.

Postawiono mu zarzut z artykułu sto czterdziestego ósmego, paragrafu drugiego – zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. I jeśli kiedykolwiek Chyłka mogła zgodzić się z literalnym brzmieniem przepisu, to właśnie w tym przypadku. Choć może bardziej adekwatny byłby zapis „ze szczególnym okrucieństwem i wyjątkowym skurwysyństwem”.

Sprawca patrzył na metalowy blat stolika, nie odpowiadając. Dopiero po chwili powoli podniósł wzrok. Gdy spojrział jej w oczy, odniosła wrażenie, jakby spozierało na nią zło w czystej postaci.

Był winny jak ocet. Bez dwóch zdań.

– Co chcesz osiągnąć? – zapytała, odsuwając papiery.

Wciąż cisza.

– Przypuszczam, że nie orzeczenie niewinności czy zmniejszenie kary, bo choć trochę byś się postarał.

Nadal nie odpowiadał.

– Słyszysz mnie w ogóle?

– Słyszę.

W jego głosie też było coś niepokojącego. Chyłka poczuła się, jakby ktoś drapał po jej duszy postrzępionymi paznokciami. Była jednak zadowolona, że mężczyzna w końcu się odezwał.

– Wiesz, ile kosztuje godzina mojej pracy?

– Jestem pewien, że więcej, niż powinna.

Dopiero teraz na dłużej zatrzymał spojrzenie na jej twarzy. Joanna poczuła, jak oblewa ją fala gorąca.

– Ale ty się tym nie przejmujesz – zauważyła. – Wszystkie rachunki płaci tatuś, prawda?

Nie odpowiedział.

Jego ojciec oficjalnie był szanowanym biznesmenem i bezwzględny graczem na arenie gospodarczej. Prywatnie natomiast pijusem, który nie wiedział, kiedy przestać. Tylko Chyłce zawdzięczał to, że nigdy nie skazano go za szereg seksualnych zabaw z dziewczynami przekraczającymi rosyjsko-polską granicę w mazurskich lasach.

– Musi być z ciebie dumny – dodała.

– Na pewno.

– Wyrzekł się ciebie na oczach kamer co najmniej pięciu stacji telewizyjnych. I mimo to płaci za twoją obronę. Dlatego tracimy czas? Chcesz mu w ten sposób dać prztyczka? Słabo, chłopie... słabo.

Odpowiedziała jej cisza. Prawniczka uzmysłowiła sobie, że takimi tanimi chwytami nie zmusi go do mówienia. Innymi zresztą też nie. Zwyrondnialec, który zabił młodą dziewczynę i jej chłopaka, a potem siedział wraz z trupami w mieszkaniu przez dziesięć dni, nie był podatny na manipulacje. Nie chodziło o to, że miał mocną psychikę. Taki człowiek żył we własnym świecie, gdzie konwencjonalne metody się nie sprawdzały.

– Dobra, skończmy to pierdolenie – zaproponowała wreszcie.

– Jest jednostronne.

Przełknęła ślinę.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytała, splatając dłonie na stole. Wysunęła nieco głowę w jego kierunku, by pokazać, że nie ma żadnych obaw. – Wiesz, że jestem tutaj, żeby

wykonać pewną robotę. I tylko od ciebie zależy, jaką drogą pójdziemy.

– Wykonaj robotę pod stołem – powiedział, odginając się do tyłu i opuszczając wzrok na swoje krocze.

Niespecjalnie ją to zdziwiło. Praktykowanie prawa karnego wiązało się z systematycznym wysłuchiowaniem aluzji seksualnych wszelkiej maści. Mówiło się, że to prokuratorki muszą mieć grubą skórę, by dzień w dzień oglądać rozkładające się zwłoki, ale zdaniem Chyłki to adwokatki miały prawdziwie gównianą robotę. Zobaczyć trupa, pójść do domu i zapomnieć – żaden problem. Wystarczyło otworzyć dobre wino i zalać te wspomnienia. Z autopsji jednak wiedziała, że kiedy oskarżony pluje na swoją obrończynię albo zaczyna onanizować się, patrząc jej prosto w oczy, niełatwo wymazać to z pamięci. Oprócz tego trzeba było nasłuchać się najbardziej pomysłowych synonimów słów „penis”, „pochwa” i „spólkowanie”. A następnego dnia wrócić do tego samego gościa i uśmiechać się od ucha do ucha, bo w końcu jest klientem.

– Jak tak dalej pójdzie, to ty będziesz wykonywał robotę pod stołem – odezwała się po chwili. – Słyszałam, że na Białogórze jest sporo takich, którzy chętnie się tobą zajmą.

Milczał. Ten argument też do niego nie trafił.

– Nie chcesz opowiedzieć światu, dlaczego ich zabiłeś?

Joanna chwyciła się ostatniej deski ratunku. Każdy psychol lubił się chełpić swoimi czynami i przypisywać im drugie dno. Ten jednak nadal po prostu na nią patrzył.

– Musiałeś wpaść w prawdziwy szal, co? – zapytała, wypstrykując papierosa z paczki. Obróciła ją do oskarżonego. – Wiesz, że dziennikarze nadal szukają motywu? Krążą

tylko czyste spekulacje. Prokuratura nic nie ma, o policji nie wspomnę. Twój ojciec twierdzi, że nie zna tych ludzi. Nic cię z nimi nie łączyło. – Zrobiła pauzę. – Nic, prócz twoich odcisków palców na narzędziach zbrodni i śladów biologicznych na ciałach.

Przeszły ją ciarki, gdy użyła liczby mnogiej. Zazwyczaj zabójcy używali jednego rodzaju broni – jeśli kłuli, to rzadko zdarzało się, by robili na moment przerwę i zmieniali nóż. Jeśli dusili, to nie zostawiali ofiary na kilkadziesiąt sekund, by mogła poluzować więzy, a potem nie wracali i nie walili młotkiem w jej tchawicę.

W tym przypadku jednak tak było.

Zabójca na przemian dusił, dźgał, miażdżył i bił swoje ofiary. Nie miało to nic wspólnego z torturami – według patologów każde z tych działań miało odebrać nieszczęśnikom życie. Oprawca jednak kilkakrotnie przerywał w ostatniej chwili, jakby się rozmyślił... jakby był niezadowolony z efektu i chciał czegoś więcej.

- Pieprzony psychol z ciebie.
- Niewątpliwie.

Chyłka wiedziała, że tego dnia nic już nie wskóra. Tylko czas mógł rozwiązać oskarżonemu język. Musi spokojnie posiedzieć w areszcie wydobywczym, podumać trochę nad parszywością swojego losu, a potem... nie, na żadną metamorfozę nie liczyła. Tacy jak on podejmowali współpracę z adwokatem tylko z dwóch przyczyn: albo byli dumni ze swoich osiągnięć i chcieli pomocy w ich nagłośnieniu, albo pragnęli uniewinnienia, by wyjść i znów zabijać.

Niestety, jej zadaniem było doprowadzić do drugiej ewentualności.

Rozdział 1

1

Młody mężczyzna stał pod biurowcem Skylight, tocząc wzrokiem po przeszklonej fasadzie. Pociągnął łyk latte, które chwilę wcześniej wziął na wynos w Coffeeheaven. Potem zaciągnął się papierosem, piątym w ciągu godziny, jeśli jego szacunki były trafne.

Kordian pamiętał, jak niegdyś niezagospodarowany teren naprzeciw Pałacu Kultury straszyl pustką i stanowił namacalny dowód marnotrawienia miejsca w samym sercu Warszawy. Teraz do stojącego tu biurowca ściągały największe polskie i międzynarodowe firmy – każda chciała mieć siedzibę obok centrum handlowego, przez które każdego dnia przewijały się tysiące osób. Jedną z tych korporacji była kancelaria prawna, w której tego dnia Kordian Oryński miał zacząć aplikację.

Żelazny & McVay powstała jako spółka komandytowa, owoc współpracy polsko-brytyjskiej. Jak to zwykle bywa, kilka innych firm musiało przestać istnieć, by ta zajęła swoje miejsce na dwudziestym pierwszym piętrze biurowca Sky-light. Od jakiegoś czasu nie spadała z piedestału w rankingach – plasowała się zazwyczaj zaraz za Dentons oraz Domańskim Zakrzewskim Palinką. Wedle obiegowej opinii obowiązywały w niej najwyższe standardy, a właściciele już zacierali ręce, by w nadchodzącym roku zdetronizować pozostałe warszawskie korporacje.

Oddziały kancelarii znajdowały się w dziesięciu innych miastach wojewódzkich, zaś liczba zatrudnionych prawników znacznie przekraczała setkę. Przed wstąpieniem w progi biurowca Skylight każdy szczęśliwiec aplikancki powinien zostać poinformowany o wszystkich tych faktach... a dodatkowo otrzymać broszurę na temat tego, jak pracować dwanaście godzin na dobę i nie uzależnić się od amfetaminy czy innych wspomagaczy.

Po prawdzie, Kordianowi takie informacje drukiem nie były potrzebne. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co wiąże się z tą robotą. Gdy wypije swoje latte i dopali papierosa, wejdzie w zupełnie inny świat. Bezwzględny, brudny i niebezpieczny. Świat manipulacji, wielomilionowych machinacji pieniężnych i innych machlojek.

Tyle, jeśli chodzi o teorię.

W praktyce spodziewał się, że dostanie stertę starych dokumentów, zamknie się w jakiejś klitce, a potem będzie wdychał kurz z archiwów przez kilka godzin.

A mimo to nie mógł doczekać się początku swojej zawodowej przygody.

– Tu się nie smrodzi – dobiegł go zza pleców kobiecy głos.

– Słucham? – zapytał, odwracając się.

– Mówiłam, że tu się nie smrodzi – powtórzyła około czterdziestoletnia kobieta, którą Kordian mimowolnie otaksował wzrokiem. Mocno taliowany żakiet i obcisła spódnica nie pomagały w oderwaniu od niej spojrzenia.

– Nie widziałem zakazu – odparł.

– Stoi przed tobą.

Ku zdumieniu chłopaka, nieznajoma wyciągnęła paczkę marlboro i sama zapaliła. Zaciągnęła się z lubością, po czym wypuściła dym w jego kierunku. Oryński przez moment zastanawiał się, czy nie trafił w okolicę szpitala psychiatrycznego.

– Coś ci nie pasuje? – zapytała.

– Co pani...

– Dokąd idziesz? – przerwała mu. – Nie srasz pod siebie, więc... czekaj, nie mów, niech się zastanowię. Na pewno nie wchodzi w grę żadna poważna firma. Może do tych cieciców od materiałów izolacyjnych? Albo nie, wiem. – Znów zaciągnęła się głęboko, patrząc na niższe piętra budynku. – Jesteś nowym praktykantem w ambasadzie Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Kordian milczał.

– *Allahu akbar?* – dodała kobieta, porozumiewawczo kiwając głową.

– Coś takiego się tu mieści? – zapytał oszołomiony.

– Aha – potaknęła, po czym ściągnęła brwi. – To może... EDF?

– Nie, Żelazny & McVay.

Próbował ukryć dumę w głosie, ale zadanie go przerosło. Kobieta najpierw uśmiechnęła się szeroko, a potem z namaszczeniem skinęła głową.

Po chwili Kordian uświadomił sobie, że uśmiech jest pobłażliwy, a rozmówczyni najpewniej pracuje w kancelarii. Kiedy zorientował się, że patrzy na niego z politowaniem, zyskał pewność, że tak właśnie jest.

Koszula momentalnie przyłgnęła mu do pleców, choć temperatura nie przekraczała kilkunastu stopni.

– Weź to swoje mleczko i chodź – poleciła prawniczka, patrząc spode łba na parujące latte. Kordian mógł się tylko cieszyć, że nie wybrał mokki z białą czekoladą, która kusiła go najbardziej. Czym prędzej zgasił papierosa pod podeszwą nowo zakupionego buta i ruszył za kobietą.

W niewygodnym milczeniu wjechali windą na dwudzieste pierwsze piętro. Kordian nie podejmował rozmowy, przekonany, że tylko pogorszyłoby to pierwsze wrażenie. Wyszedłszy z kabiny, odetchnął z ulgą i potoczył wzrokiem po wąskim korytarzu. Długi rząd plakietek z imionami, nazwiskami i funkcjami pracowników kancelarii Żelazny & McVay informował, że przybył na miejsce. Pas startowy kariery, pomyślał.

– Przyjeliśmy cię już?

– Słucham? – wyпалиł. – Tak, tak, zostałem przyjęty. Rozmawiałem z panem Żelaznym. Robię aplikację przy izbie warszawskiej i...

– Domyśliłam się, że nie przyjechałeś z Gdańska – odburknęła prawniczka, stając przy drzwiach ze złotą plakietką, na której widniał napis: „Joanna Chyłka, Senior Associate”.

– Wiesz, co robić?

– Tak, proszę pani – odparł Oryński tak usłużnie, że sam miał ochotę dzielić się po twarzy. – To znaczy... nie, niespecjalnie.

– To tak czy nie? – zapytała, kręcąc głową. – Idziesz do recepcji, o tam. – Wskazała kierunek. – Od Anki bierzesz talon na kurwę i balon, a potem idziesz do...

– Przepraszam... Co biorę? – zapytał Kordian. Przesłyszał się czy nie? Chyba nie, ale kobieta miała minę tak grobową, że może jednak...

– Talon na kurwę i balon – powtórzyła, otwierając drzwi do swojego biura. – To taka nasza tradycja dla nowo przybyłych. Dostajesz świstek papieru i kładziesz go na biurku. Jak przyjdzie co do czego i będziesz miał zebrać burę, pojawi się twój opiekun i zrealizuje talon na kurwę. Jak zasłużysz na jakiś bonus, spienięży ci talon na balon. Jasne?

Nic nie było dla niego jasne. Miały być najwyższe standardy, moda jak z nowojorskich kancelarii albo wprost z serialu „Suits”. Tymczasem miał przed sobą bardziej absurdalną wersję „Boston Legal”. Nic, na co się pisał.

– Jasne – przytaknął.

– To zbieraj dupę w troki i idź do recepcji – poradziła Joanna i weszła do swojego biura. – A potem módl się o to, żebyś nie trafił na patrona tak upierdliwego, jak ja.